Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 38.** **Leszno,** *dnia* **21.** *Marca* **1840.**



Flisy pod Gdańskiem.

Flis. (*)

Zawsze szczodrość pańska z nami:
Ta obdarza nas pszenicą,
Wyślemy ją galarami,
Żywić głodnych za granicą.

Kamiński.

Kiedy w pogodny letni wieczór mnóstwo powozów dąży nowym światem ku Łazienkom lub Wilanowu, ujrzysz nie raz, jak nieliczne grono, z kobiet i mężczyzn złożone, zwraca się na topolową ulicę, prowadzącą do Wisły, a potém chodząc po kamiennéj tamie, lub na darniowym wale siedząc, zachwyca się cudnym widokiem, roztoczonym przed nim. Lubią oni zapewne patrzeć na gmachy Warszawy, których dachy, wieże, kopuły, nikną w obłokach, albo raczéj w tumanach kurzu, unoszącego się nad nimi, jakby gęsta, dusząca zasłona. Lubią poglądać na liczne ogrody, po których miasto

(*) Wyjęto z „Pierwiosnka", Noworocznika na rok 1840, złożonego z pism samych dam, zebranego przez Paulinę K..... W Warszawie, w drukarni Max. Chmielewskiego.

zdaje się ku Wiśle zstępować; na te drobne ubogie chatki, tak często zalewane przez swawolną rzekę, a jednakże z tak niepojętém zaufaniem powstające coraz to bliżéj brzegu; nakoniec na ową szeroką białą przestrzeń wody, za którą, jakby ciesząc się z przegrody dzielącéj ją od miasta, natura wdzięki swoje roztacza swobodniéj. — Pasma żółtego piasku i łąk zielonych, czerwone dachy wystające z pośrodka ogrodów, białe ściany domków kryjących się zalotnie wśród zarośli Saskiéj kępy, tu i ówdzie migająca się za drzewami łacha, a w końcu czarne pasmo lasów zamykające obraz; wszystko to zajmuje i bawi oko, ożywia wyobraźnię i miłym pokojem duszę napełnia.

Pewnego wieczora podobne towarzystwo stało na tamie. Wisła, zwykle tak poważna i zajmująca, żywszy jeszcze przedstawiała widok. Cały jéj brzeg lewy pokrywały liczne statki, napełnione cynkiem, żelazem, zbożem, przeznaczoném w części do Warszawy, w części do Gdańska. Na tym brzegu, tak nieraz cichym i spokojnym, dziwny ruch panował; za pomocą windy kilku ludzi wyciągało ze statków ogromne paki cynku; Żydzi dźwigali na ramionach ciężkie wory pszenicy, którą niemieccy robotnicy ładowali sztuczny wóz stojący na żelaznéj kolei; ubogie kobiety i dzieci wytrząsały starannie słomiane maty, chcąc się pozostałém pożywić ziarnem, a flisowie spoczywali na wypróżnionych galarach, przyrządzali sobie wieczerzę, lub gwarząc wesoło, żartowali z brodatych dzieci Izraela.

Jeden z większych galarów, przywiązany liną do żelaznego pierścienia, tkwiącego w ścianie granitowéj tamy, stał tak blisko brzegu, że można było łatwo widzieć i słyszeć, co się na nim działo. W jednym rogu, wsparty na pęku słomy, spoczywał flis już nie młody, lecz czerstwy, okazałéj postawy; twarz wesoła, rumiana, czarne żywe oczy, i nasunięta na lewe ucho czerwona magierka, znamionowały prawdziwego Krakowiaka, a czysta bielizna, biała jak śnieg sukmana, pas świecący od kółeczek, i uszanowanie, z jakiém rozochoceni flisowie nawet wśród gonitw i skoków omijali ten galar, dowodziło, że miał u nich niepospolite znaczenie.

W drugim końcu, przed niskiém z piasku usypaném ogniskiem, dwunastoletni może chłopczyna obierał przeznaczone na wieczerzę kartofle; nieraz zapewne patrzył, jak porządna gospodyni podobną czynność odbywała, bo najdrobniejsze czarne plamki starannie wykrawał i co chwila obmywał sobie ręce.

Starszy patrzył na niego z uśmiechem.

„Oj bratku“, rzekł po chwili, „strasznieś coś wymyślny; nie jeden z nas wolałby kartofle jeść z łupiną, niż tyle nad ich skrobaniem marudzić. — Znać, żeś fryc, kochanku...... albo możeś widział, jak tam na berlince Niemki przyrządzają jedzenie?“

„Juźcić mój panie Marcinie,“ odpowiedział chłopczyna, „że oni tam lepiéj i porządniéj żyją, niż my tutaj, to wielka prawda.“

„Prawda, czy nie, nie radzę ci tam często zaglądać, bo te Niemcy!... a Niemki!...“

„I dla czegóż tak Niemek nie lubisz, Marcinie?“ spytała młoda kobieta z grona przechodzących; nie raz bowiem w ustach prostego ludu spotkała wyrazy niechęci przeciw cudzoziemcom i pragnęła się przekonać, czy niechęć ta ma jakie sprawiedliwe źródło, czy tylko jedni od drugich ją przejmują, sami nie wiedząc dla czego.

Flis spojrzał w górę, a poznając osoby, z któremi od tygodnia prawie co dzień rozmawiał, uchylił czapki i rzekł:

„Dla czego ich nie lubię?... oj, moja Jejmość, wiem ci ja to dobrze.“

„A mybyśmy się o tém dowiedzieć nie mogli?“

„Czemu nie! tylko to długa rzecz, gdyby chcieć wszystko opowiadać.“

„Nic nie szkodzi, przyjacielu, usiądziemy tu na brzegu, i jeżeli nam zechcesz uprzyjemnić wieczór, posłuchamy z wdzięcznością.“

„To i dobrze! nie mam téż na dziś nic innego do roboty.“

Mówiąc to, Marcin wszedł na tamę po lichéj kładce, o galar opartéj, a skoro ciekawe towarzystwo zajęło długą sosnową kłodę, leżącą pod wałem, zasiadł na pace cynku, wsparł się łokciem na drugiéj, dobył krzesiwa z kaletki zawieszonéj u pasa, i zapaliwszy fajkę, tak mówić zaczął:

„Najprzód trzeba wiedzieć, że to będzie moja własna historya, a powiem z niéj tylko to, z czego się państwo przekonacie, czy mam za co lubić niemiecki naród. Ale czy jeno Jejmość nie Niemka?“ dodał, obracając się do jednéj z słuchaczek, na któréj ustach igrał mimowolny uśmiech, „bo oni się już tak po naszemu mówić nauczyli, że ich i poznać ciężko.“

Na uroczyste zapewnienie, że w całém towarzystwie Niemca, ani Niemki niebyło, mówił daléj:

„O dwie mile od Krakowa, nad samą Wisłą, leży wioska Bukowiec; w téj wiosce od niepamiętnych czasów mieszkał mój ojciec, dziad, pradziad, prapradziad może! ja i moje dzieci tam się porodziły, i... może się to Państwu dziwacznem wyda, ale w naszéj familii z ojca na syna przechodzi imię i nazwisko, zawsze najpierwszy chłopak chrzcony jest Marcinem, bo powiadają, żeby Wiśle tęskno było, gdyby kiedy Marcin Skorylas po jéj wodzie żeglować przestał.“

„Słyszałem często od braci flisaków, że kiedy pierwszy raz odbijają od brzegu, to im tę-

sko, smutno na sercu, i radziby wrócić do domu; ja tego nie pamiętam, bo jeszczem był ot tylkim chłopaczkiem, kiedy po śmierci ojca wziął mię dziadek do Gdańska. Nie tak to wtenczas pływali jak teraz....... Co mi tam za wesele, wlec się na ciężkim niezgrabnym galarze, i wlec się jeszcze z nie swoim towarem! inaczéj wtedy bywało!... płynąłeś sobie szkutą lub półszkutkiem, co z wiatrem leciał, gdyby koń rozpędzony, rufa śmiało w dwa zagony rozbijała wodę, a ona niby w złości wracała z szumem na burty, pluskała po pojazdach, i jeszcze daleko za statkiem pieniła się, że go dognać nie może."

„Dopieroż jak wiatr dmuchnął w rozpostarte żagle, jak flagą zawarczał!... jeszcze się człeku serce raduje. A cóż to za uciecha, jak się do Gdańska zawinęło! bo tam nie same Niemcy mieszkają; nieraz przybija do portu chudy wysoki Anglik, lub tłusty czerwony Holender, czasem i zwinnego Francuza zobaczysz, czasem Turka w zawoju; wszystko to się kręci i zaleca do polskiéj pszenicy, a flis, siedząc sobie na malenkim statku, patrzy, pokręcając wąsa, jak ci panowie ogromnych okrętów łakomie przeglądają i wąchaja nasze ziarno."

„Ale teraz nie tak! rzadko który z nas na swoją rękę handluje, nasypią ci na galar zboża pod miarą i wieź je do Warszawy, albo do Gdańska; jak zsypiesz w spichlerze i pieniądze odbierzesz, to nie wiesz po czemu się przedało, kto zbył, kto kupił, nikt ci i czapki nie uchyli... ha! i cóż robić?"

„Otóż dobrodziejstwo; byłem jeszcze młodym chłopcem, kiedy mnie na Wiśle już nie frycem znali; puszczałem się to z dziadkiem, to sam na jego szkucie, płacił mi staruszek lepiéj jak najemnym flisom i w dwudziestym roku jużem sobie nie mało grosza uzbierał."

„Jednego razu trzeba było płynąć do Gdańska, ale że nie ze swojém zbożem, nie chciało się dziadkowi wyruszyć z domu; dał mi więc statek, komendę nad chłopakami, i ruszyłem sobie wesoło, bo za mną, jako za doświadczonym, sunęło się z okolicy kilkanaście półszkutków, tratew, galarów, a na wszystkich znajome zuchy. Minęliśmy Sandomierz, Kaźimierz i inne nadbrzeżne miasta, lato było suche, wody mało, ale że za kilka dni miał nadejść Święty Jakób, i jak się z flisowskich prognostyków zdawało, gracka Jakóbówka, stanęliśmy sobie pod Warszawą."

„Nie było jeszcze wtedy tego, jak tam zowiecie, bulwarku, ani topolowéj drogi, ani fabryk, ani młyna, tylko, właśnie jak teraz, tam trochę opodal brzegu stało kilka berlinek. Widziałem już takich mało pięćdziesiąt, ale dopiero stojąc w przystani i nie mając co robić, zacząłem im się przypatrywać tak ot, jak ten frycek. W jednéj osobliwie, co stała tuż przy mnie, podobały mi się małe okienka z firankami, świecące naczynia, które szyprowa codzień starannie czyściła, kwiatki w doniczkach stojące przededrzwiami, a nadewszystko ładna dziewczyna, co je polewała wieczorem."

„Widziałem wszystko, co się w izdebce działo, i zdało mi się, że te Niemcy jak panowie żyją; — dziwna rzecz, jak to tu wszystko czysto i porządnie, choć tak ciasno! piękniéj daleko, niż u nas w chacie!...."

„Z całego Bukowca, myślałem sobie, najpiękniejszą i najporządniejszą dziewuchą jest Marysia; ale choć to koło niéj niby schludnie, jednakże ta Niemeczka, stojąc przy swoim żelaznym piecyku, w cieniuteńkim fartuszku, w koszuli z mankietami i świecącą łyżką blaszaną szumując garnki, wyglądałaby przy niéj, gdyby grafini. Prawda, nie bardzo mi się podobała czarna, okrągła mycka, co jéj zakrywała włosy; Marysi kosa, zapleciona wstęgami, ładniejszą była daleko, tylkoż... jak wiatr rozwieje warkocze, albo gdy przy robocie nie ma ich kiedy utrefić, to możeby i lepiéj, gdyby taką niemiecką czapeczkę nosiła."

„Pókim widział rumiane jagody Marysi, póki przedemną jéj czarne oczy błyszczały, zdawało mi się, że nie ma piękniejszéj na ziemi, i jużem dziadkowi mówił o ożenieniu, jużem się z nim sprzeczał, kiedy mi zaczął przekładać, że ona sierota, u obcych żyje, że za nią i złotówki nie dostanę.... ale ta Niemka.... moi państwo, to wcale co innego; biała jak mleko, znać na słońcu nie bywała, niebieskie miała oczy i poglądała na mnie tak mile, uśmiechała się tak wdzięcznie, że mi mało serce z piersi nie wyskoczyło."

„Przeszło tak ze trzy dni, omyliły nas przepowiednie; wody jak nie było, tak nie było, musieliśmy czekać."

„Czwartego wieczora, jam sobie siedział na statku, moja Niemka stała na samym brzegu berlinki, i białym, gdyby śnieg, grzebieniem, czesała pieska czarnego jak sadze; aż tu nagle zwierzątko wyrwało się z rąk pani i plusk.... wpadło w wodę, tuż przy mnie. — *Ach! Herr Je!...* krzyknęła dziewczyna załamując ręce; ja téż, nie wiele myśląc, skoczyłem w znajomą Wisłę unoszącą czarne niewdzięczne stworzenie, i wyciągnąłem je szczęśliwie."

„Na krzyk młodéj Niemki, rodzice jéj wybiegli z izdebki, a widząc jak się próżno siliłem, aby jéj podać pieska z brzegu niskiéj szkuty, spuścili małą drabinkę i zaprosili do siebie."

„Nie spodziewałem się nigdy takiego szczęścia; w radości jednym susem stanąłem na berlince, otrząsnąłem się z wody i skłoniłem się wszystkim magierką."

„Stary niemiec wskazał mi ręką krótką belkę, leżącą na pokładzie; miało to pewno znaczyć, żeby na niéj usiąść; nie dałem się dłu-

38

go prosić, bo przedemną tuż przy drzwiach stała Lotka szyprówna, głaszcząca swojego pieska i patrząca na mnie ukradkiem. Z troskliwości o córkę, szyprowie porzucili byli wieczerzę; żeby im więc do reszty nie ostygła, wrócili do niéj spokojnie, nie troszcząc się o milczącego gościa; ale kiedy Niemiec podjadł, przypomniał sobie o mnie, i nie odwracając głowy od cynowéj misy, zapytał:

„A gdzie jedziecie, kamerad?“

„„Do Gdańska!““

„Na czyim statku?“

„„Na moim własnym,““ odpowiedziałem śmiało; boć wszystko jedno było, czy mój, czy dziadka.

„Stary poprawił szlafmycy; jego żona zdjęła z półki czysty talerz, i stawiając go przy sobie na stoliku, rzekła:

„Może jeszcze nie po wieczerzy? to prosimy...“

Nie wypadało odmówić; usiadłem przy nich i nabrałem sobie kartofli, bo mi się zdawało, że w maśle pływały; gdzie tam! ani to było słone, ani kraśne, tylko jakimsiś dymnym sosem podlane. Na flisówce to człek i nie wybredny, ale tego żadną miarą połknąć nie mogłem; fraszka, myślałem sobie: fraszka cyna i miedź świecąca, wolę ja smaczne jedzenie, choć w glinianéj misie. — Położyłem łyżkę, Niemcy nie namawiali mię dłużéj, a ja widząc, że Lotka, sprzątnąwszy resztki wieczerzy, poszła na drugą stronę berlinki, że staruszka zaczyna kotary od łóżka odsuwać, pożegnałem moich nowych znajomych.“

„Odtąd widywaliśmy się po kilka razy na dzień; Lotka, czy to robiąc pończochę, czy obierając kartofle, uśmiechała się do mnie; jam dla niéj czerpał wodę do polewania kwiatków; nie raz nawet zaczynałem z nią rozmawiać, ale to nie długo trwało, bośmy się jakoś porozumieć nie mogli.“

„Jednak, na koniec końców, tak mię Niemka zczarowała, że kiedyśmy w tydzień po świętym Jakóbie od brzegu odbili, jużem ani pomyślał o Maryśi.“

„W drodze berlinka Gotliba szła tuż przy mojéj szkucie; dziewczyna mało nie cały dzień przesiedziała na pokładzie, pieściła swego pieska i mawiała niby do niego, że bardzo lubi czarne oczy i włosy. Żadne jéj słowo nie przeszło mi mimo ucha, i tuszyłem sobie, że moje oczy jeszcze czarniejsze, niż u szczęśliwego psiny, jeszcze się więcéj Lotce podobać powinny.“

„Płyń sobie jak chcesz, szkuto dziadkowa! już tylko chłopaki tobą kierują; a ja ciągle siedzę przy boku berlinki, krzeszę Gotlibowi ognia do fajki, trę cegłę dla jego żony i przypochlebiam się jak mogę, bom sobie ułożył, że jak w Gdańsku staniemy, to się o szyprównę oświadczę. Co tam, że dobrze po polsku nie umie! nie będzie się ze mną sprzeczała. Taka żona najlepsza, któréj gniewu i przycinków nie zrozumiesz; a na dobroci to się i bez słów poznać można!“

„Dopłynęliśmy do Torunia; pod miastem u brzegu Wisły, jak dawniéj tak i teraz, ciągnie się cała processya młynów; wiedziałem nie dopiero, jak koło nich niebezpieczno, i starałem się zawsze w tém miejscu do środka rzeki nawracać; ale tą razą statek Gotliba zastępował mi drogę, Lotka obrywała listki z doniczek i puszczała je z wiatrem, a ja, gdyby bez rozumu, biegałem za niemi z jednego końca szkuty na drugi.“

„Hola! ho! zagrzmiało za mną od razu kilkanaście głosów; młyny! na prawo! krzyknęły flisy, ale za późno; mój statek, co miał wszystkim rotmanić, wpadł na słupy pierwszego młyna i zabrał go z sobą.“

„*Ach Gott! Ach Herr Je!... O weh!* wołał młynarz z żoną i dziećmi, płynąc pomiędzy nami, aż póki mu Gotlib po niemiecku nie wyperswadował, że to szkoda nie wielka, że moi towarzysze odprowadzą młyn do brzegu. Niemiec dał się niby udobruchać; ale jakeśmy ową nieszczęsną szopę do nowych słupów przywiązali, uchwycił mię za guzik od sukmany, i za swój przestrach i stratę czasu zażądał dziewięć talarów.“

„Aż się za głowę ująłem dobrodziejstwo! daléj w targi z młynarzem; Gotlib wdał się także do sprawy, bo to był brat jego rodzony, i po długich naradach stanęło na tém, żem miał dać pięć talarów, ale zaraz, a nie, to do turmu! — Cóż tu robić? u mnie ni dziesięciu złotych w kalecie nie było, bo dopiero w Gdańsku miałem pieniądze odebrać. Drapię się to po jedném, to po drugiém uchu, ani wiem, jak sobie poradzić! ale Lotka, patrząc na mnie z daleka, szepnęła coś matce do ucha, a szyprowa wzięła wypłatę na siebie, byłem jéj tylko skrypt na pięć talarów wystawił.“

„Nie tak już wesoło jak z początku, żeglowałem daléj; — otóż masz zaloty! myślałem sobie: dość już tego, trzeba się przecież raz ustatkować; — żebym był miał żonę, tobym nie gonił za zżółkłemi liśćmi, tylko statku pilnował; — więc się ożenię, ale z kim? ha! jużci z Lotką; ona sama ładna, rodzice bogaci i uprzejmi, czegoż mi więcéj potrzeba? i daléj znowu przymilać się dziewczynie, aż póki statki nie zawinęły do portu.“

„Gotlibowie mieszkali o pół mili od Gdańska; skorom więc złożył zboże, gdzie należało, i odebrał zaległe dziadkowi pieniądze, pobiegłem oddać dług pani szyprowéj. Aż mię oczy zabolały, gdym wszedł do ich domu; co za bogactwo, haftowane firanki u okien, orzechowe stoły i komody, a podłoga! bałem się progu przestąpić, żeby na niéj podkówkami śladu nie wycisnąć.“

„Szafy pełne były miedzi i bielizny, szklanek, filiżanek co nie miara, krów kilka, owiec, kaczek bez liku; za domem wielki ogród, za ogrodem większe jeszcze grunta; to wszystko kiedyś Lotce się dostanie, bo Gotlibowie więcéj dzieci nie mają.“

„Czegóż się było ociągać? tego samego wieczora powiedziałem staremu, że chcę zostać jego zięciem; a on, naradziwszy się z żoną i córką, chętnie na to przystał.“

„Przychodziłem zatém do nich po dwa razy na dzień.“

„Drzesz obuwie, Marcinie, przychodząc z tak daleka, powiedział mi Gotlib w tydzień po oświadczynach; — wydajesz pieniądze płacąc drogo w gospodzie, lepiéjby u nas pozostać; będziesz sypiał na górze, darmo, a za stół, to ci moja żona sumiennie porachuje.“

„Zostałem tedy; kuchnia Gotlibowéj była czysta, ale chuda; jednakże oczy Lotki krasiły i pomnażały mi jedzenie. Nalegałem, żeby jeszcze przed moim odjazdem odbyć zaślubiny, ale mi powiedziano, że Lotki wyprawa jeszcze nie gotowa, że na jéj wesele trzeba z daleka zaprosić starego stryja, po którym miała odziedziczyć majątek, słowem, że dopiero za rok, jak Bóg da doczekać, powiozę żonę do domu.“

„Zacząłem się wybierać do Bukowca, aż tu przyszły mój teść prosi, żeby mu pomódz dożnąć jęczmienia, co się opóźnił na polu; jakże tu odmówić, kiedy i Lotka, ściskając mię za ręce, do zostania namawia.“

„Skończyły się żniwa, ja znowu do pożegnania.“

„Bleib Martinchen! rzekła Lotka, głaszcząc moje włosy.“

„Bleib lieber Sohn! przymówił Gotlib; wykopiemy razem kartofle.“

„Pomyślałem chwilkę, potém odprawiłem szkutę do domu pod kommendą dalekiego krewniaka, co zemną przypłynął, i kazałem dziadkowi powiedzieć, że się do ładnéj, bogatéj Niemki zalecam.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Poezya polska w 15^{tym} i 16^{tym} wieku,

przez W. A. Maciejowskiego. (*)

Poezya polska, nosząc na sobie pierwotny swój sławiańsko-narodowy charakter, odznaczyła się w 16tym wieku osobnemi, sobie właściwemi, znamionami; rozszerzywszy się znacznie, ale nie odstrzeliwszy daleko od ogniska, w którém się pierwotnie skupiły jéj promienie. Była liryczno-opisową, utkaną z historycznego i satyrycznego wątku. W hymnach i elegii do najwyższéj, na jaką się wiek ten mógł zdobyć, wzniósłszy się ona doskonałości, krążyła około narodowych pamiątek, tak, iż narodowość głównym była przedmiotem, który ówczesni poeci nasi najwięcéj opisywali. Nie czczą więc zabawką, lecz odgłosem narodowych uczuć, będąc już wtedy poezya polska, stała się głównym tłumaczem moralnego usposobienia narodu, w takiéj zawsze pokazując się postaci, w jakiéj się ukazywało i narodowe życie.

Religijném li uczuciem oddychając naprzód liryczna poezya polska, pobratała się wkrótce z moralną, czyli obyczajową, przybraną w szatę satyry i apologu, a pożyczywszy jéj świetnego swego stroju; byłaby mogła okazałym przyodziać blaskiem światowe nasze pienia, gdyby już wówczas polscy poeci umieli byli narodowe, gminne i historyczne pieśni, z poziomu sielskich uczuć, wynieść na szczyt liryki wieszczéj, podnieść je mocą sztuki i wyższém natchnąć życiem, i gdyby oraz byli potrafili układać ich wątek, podług ducha i humoru (skłonności umysłowéj) narodowego. Ale mali w zewnętrznéj i wewnętrznéj poezyi, czyli nieoryginalni w myślach i składzie wiersza, nie byli jeszcze w stanie samodzielnie tworzyć. Umieli tylko naśladować, i jakkolwiek na język polski obce przenosić wzory, czując ich piękność, a jednakże jéj niemogąc oddać w ojczystéj mowie. Wprawdzie polskie wiersze Jana Kochanowskiego, a Reja moralne rymy, tudzież Klonowicza o obyczajności pienia, świadczą o tém, że ci wierszopisowie czuli dobrze, jak należy dla Polaków pisać, że usiłowali bystrym potokiem płynące w swych sercach myśli wylać na papier, i pozbyć się ciężaru, który ogromem brzemienia swego tłoczył im piersi; przecież pod względem narodowego uważani ducha, nie sprostali oni nawet karczemnemu skrzypkowi, który za natchnieniem serca i za słuchem delikatnego ucha idąc, lepiéj umiał z sielskiéj nóty wybrać narodową piosenkę, aniżeli oni z wątku gminnéj pieśni nadobną tak ułożyć całość, żebyś na wystawionym obrazie rozpoznał łatwo i myśl i barwę przedmiotu, w narodowéj wystawionego postaci. A jak tamten z wrzaskliwością prostych skrzypców tylko wtedy nielitościwie raził ucho, kiedy wyżéj sięgał, nad głos sielskiego pienia, tak i ci ranili serce słuchacza, gdy piskliwie jęcząc i dźwięcząc, polskie opiewali przedmioty, albo po prostu rzeczy wystawiając, nie uczyli narodu, jak ma pojmować narodowe swe życie. Nie umieli też ówcześni poeci, dobyć z siebie mogącego ich ożywić zapału, bo nie zdołali przejąć się przedmiotem, wchodząc w najdro-

(*) Z dzieła znajdującego się w rękopismie pod napisem: *Dzieje naukowego i domowego życia Sławian w 15tym i 16tym wieku.* Dla krótkości nie wypisano całkowitych tytułów pism, które za źródła posłużyły do niniejszego artykułu, ponieważ takowe rozbiorą się w samém dziele. Własnymi wyrazami pomników oddana jest rzecz cała, układ jéj tylko i wystawienie zrobił Szanowny Autor podług pomysłu swojego. Przyp. Red.

bniejsze jego szczegóły, i z pojedyńczych maleńkich cząstek wielką jego utworzyć całość. W małéj, bo najmniejszéj nawet przestrzeni, zamknięta przedmiotu całość, przemówi do serca, jeżeli z osnowy rzeczy, te właśnie szczegóły zdoła poeta wywieść na jaw, które dają wmyśleć się w rzecz i ducha jéj odgadnąć. Ubóstwo umysłowego usposobienia swego, chcąc pokryć poeci nasi, pstrzyli swe płody pożyczanemi u innych ozdobami, i, jak zubożały dłużnik wystawnością swoją zwykł swoich oszukiwać wierzycieli, tak i oni oszukali swój wiek, uczyniwszy to, że mu się podobały piękne owe, z obcéj poezyi pokradzione płatki, że ciećkał się z niemi, i na jednéj kładł szali rymopisów naszych z największymi geniuszami, starożytnego i nowożytnego świata. Czas wykrył prawdę i przekonał o tém, że łatwość zostania u nas poetą, dała zgubny popęd całemu niemal narodowi, tak, iż układać wiersze, a być uczonym, jedno u nas znaczyło w długie czasy. (*) To zaszkodziło rozwijaniu się naszéj gruntownéj oświaty, lubo delikatne czucie narodu, przez to wykształciło się wielce. Też same cechy, co poezya, nosiły na sobie polska muzyka i taniec, nieodstępne poezyi towarzyszki, które wszakże prędzéj się wydoskonaliły, niż tamta, bo łatwiéj jest człowiekowi upiększyć i wydoskonalić powierzchowność ciała, aniżeli serce swe i rozum ukształcić. Dla tego też taniec i muzyka polska, prędzéj, niż poezya, stała się europejską; w nich naród nasz żyć będzie wiecznie, one przeciągną jego życie po za przeszłość, one zawsze umysłowość polską pięknie charakteryzować będą. Ziemie ruskie, Małopolska i Mazowsze, były to główne krainy obszernego naszego królestwa, które najwydatniejsze miały cechy poezyi narodowéj, tudzież tańca i muzyki. Trzy nadobne te sztuki, łączyły się w jednéj ojczyźnie polskiéj: ogniwem swojém nie tylko kraje przedjagielońskiéj, ale i ziemie pojagielońskiéj Polski łącząc ściśle. Sielskie pienia, tudzież kozak i dumka; satyra, tudzież krakowiak i mazurek, charakteryzowały poezyą, taniec i muzykę ziem ruskich, Małopolski i Mazowsza; a religijne pienia z tańcem polskim i właściwą muzyką, z pierwotnego swego siedliska, z Wielkopolski, po całym rozlawszy się królestwie, łączyły w jedno całą przestrzeń obszernéj Lechii, pod względem sztuk nadobnych. Tkliwości i wdzięków nadobne te dzieci, Muz i Gracyów córy, (jak starożytni mawiali Grecy) pielęgnował Polak od kolebki aż do grobu, mianowicie téż w 16tym wieku, dopóki w 17tym fanatyzm nie zakłócił naród i na chwilę nie przerwał tych przyjemnych zabaw.

Kiedy przyszło poetom naszym puścić się na pole świeckiéj liryki, błąkali się długo, różnie próbując, azali nie natrafią na przedmiot, któryby przypadłszy do smaku narodowi, oryginalnie rozwinął wieszczego ich ducha. Mimo puściwszy pieśni gminne, udali się do fraszek, i z wielką korzyścią zaprawiwszy tkliwe swe czucie na małych piosenkach, pokusili się o wyższe pieśni i treny. Drugie najlepiéj się im udały, i postawiły ich w rzędzie oryginalnych wieszczy. Dalsze w tym zawodzie usiłowania, zawiodły naszych poetów nadzieje. Godowe i pogrzebowe pienia, nie udały się im bynajmniéj; lepiéj poszły pieśni pochwalne, wszakże te pochodzą od wieszczów, którzy się i w religijnéj poezyi odznaczyli znakomicie. W całym przestworze liryczno-polskiéj poezyi okazuje się być oryginalną sama tylko elegia. Przedstawia ona najpiękniejszy widok, i sama tylko wraz z satyrą pojętą jest w prawdziwie sławiańskim duchu przez naszych poetów. Bo smutek z ironią, łączyć najwięcéj przystało Sławianom, od obcych i od swoich nękanym wiecznie, a od losu prześladowanym niemal ustawicznie. Znaczenie i przeznaczenie sławiańsko-polskiéj elegii, dobrze pojął i opisał Jan Daniecki, (w pieniu weselném Mikołajowi Korycińskiemu i Barbarze Pukarzewskiéj zanóconém) w tych słowach:

I to, i wiele rzeczy którekolwiek były
Na świecie, wyście święte muzy oznajmiły:
Żałować pomagacie, gdy kogo przystojnie
I grób łzami dobrego oblewacie hojnie,
Także gdy się weselić dobrym pomagacie,
Zwłaszcza kogo chętnego ku sobie téż znacie.

Z wielkiego tłumu elegijnych naszych poetów, trzej głównie zasługują na uwagę: Jan Kochanowski, Sebastyan Klonowicz i Kasper Miaskowski. Pierwszy okazał się w trenach oryginalnych i najwięcéj w nich rozwinął poetyckiéj samodzielności. Bo chociaż Jan Kochanowski umiał Horacego tak zpolszczyć, iż w zewnętrznéj i wewnętrznéj swojéj uważany on postaci, zdaje nam się być Polakiem rodowitym; przecież pożyczone myśli od wenuzyjskiego wieszcza, a rozlane po pieniach poety z Czarnolesia, wyjawiają snadnie, że je Rzymianin po polsku, a Polak po rzymsku wynurzył, nucąc niezgodnie z naszemi rycersko-męzkiemi i moralno-staropolskiemi zwyczajami. Na pierwsze każdy łatwo się zgodzi, na drugie, ażeby przystał, niechaj z pomiędzy wielu odczyta dwudziestą pierwszą pieśń księgi pierwszéj, tudzież pieśń szóstą księgi drugiéj. W Rzymie za czasów Augusta powszechném było hasłem, że słodkie są więzy miłości i że dorosłéj dziewczynie unikać męczyzn nie przystoi; lecz w Polsce nie odzywano się w 16tym wieku z tém zda-

(*) Ważne są słowa Górnickiego w *Dworzaninie* str. 318. o Stanisławie Maciejowskim, kasztelanie sandomirskim. Mylnie powiedział ksiądz biskup Woronicz w Rocznikach towarzystwa II. str. 382.: „Ze panowanie Zygmunta III. za prawdziwy kres rozplenienia się naszych poetów naznaczyć można:“ od wieków bowiem było już u nas pełno wierszy i wierszokletów, poetów zawsze mieliśmy mało.

niem publicznie. Inaczéj myślącym i czującym pokazuje się Jan Kochanowski w trenach swoich: bo téż inne było jego położenie, kiedy do drzwi swéj Hanny kołatał, lub nalegającemu na siebie gospodarzowi, wypraszał się od kielicha, a insze, kiedy po próżnych spoglądając kątach, niewidział pieszczoszki swojéj Urszuli, lub kiedy spozierając na pozostałe po niéj sukienki, przypominał sobie stratę drogiéj dzieciny. Dla tego téż poeta z Czarnego lasu będąc w pieśniach potakiwaczem zniewieściałego Mecenasa, w trenach okazuje się być Polakiem, z polskiém prawdziwie sercem, srogie znoszący losy, niepoddający się żalowi zupełnie, ale ufający w Bogu, i spokojnie oczekujący końca swych dolegliwości. Szkoda tylko, że jak w charakterze, tak również i w myślach poetycznych nie okazał się tu samodzielnym Jan Kochanowski. Bo i w trenach panują u niego obce myśli. Nawet w 18tym trenie, ze wszystkich najpiękniejszym, przemawia naśladowca psalmów Dawida. (Dalszy ciąg nastąpi.)

O stanie nauk w akademii krakowskiéj za Augusta III.

(Dokończenie.)

Ludzie sławni w wydziale medycznym.

Lubo w szkole główněj krakowskiéj nie było kursu lekcyi publicznych w wydziale lekarskim; trzeba jednak przyznać, że Polska miała wiele sławnych doktorów, którzy i około swéj professyi, i około nauk fizycznych wiele się zatrudniali. Im winni jesteśmy bardzo wiele postrzeżeń fizycznych, opisanie chorób w kraju naszym powszechniejszych.

Między krakowskimi doktorami, na pierwsze zasługuje wspomnienie doktor Fermika, dziekan kolegiaty, którego prace znajdują się po większéj części in actis eruditorum instituti Bononiensis; oprócz czego pisał on dysertacye o niektórych chorobach. Był doktorem Załuskiego, biskupa, szacowany od wszystkich dla swéj nauki i dobrych obyczajów.

Ksiądz Łopacki, kanonik krakowski i prałat kościoła farnego Panny Maryi w rynku, był człowiek, jakich bardzo rzadko daje Opatrzność na przykład i pociechę ludziom.

Abym nie miał potrzeby powtarzać jednéj materyi kilka razy, opiszę tu pokrótce zasługi Łopackiego:

Człowiek ten w akademii krakowskiéj do nauk wyzwolonych i umiejętności przykładający się, otrzymawszy stopień doktora w wydziale filozoficznym, wysłany został do Włoch na fundacyą Słowikowskiego do Bononii, tam wziął się do nauki lekarskiéj, i w niéj tak wielki zrobił postępek, że za swym powrotem wyszedł na najlepszego i najszczęśliwszego praktyka.

Tym sposobem zyskał dla siebie powszechną wziętość, za tą, jak zwyczaj, poszły promocye w stanie duchownym, tak dalece, iż mógł wyjść na użytecznego dobroczyńcę miasta Krakowa, przez wiele chwalebnych funduszów i był żywicielem nędznéj ludzkości przez hojne jałmużny. Tak bogaty prałat, nie potrzebował żadnéj nagrody za swe rady i starania około chorych. Wyznaczył każdego dnia godziny, w których gromadzili się do niego ubodzy, odbierali rady i recepty z rąk jego, a w aptekach, do których się udali z receptami, ręką Łopackiego podpisanemi, dawano im darmo lekarstwa, które on na końcu każdego miesiąca opłacał; zaś chorych, którzy do jego domu przyjść niemogli, a w parafii się jego znajdowali, sam odwiedzał, nie tylko zdrowie ratując, ale potrzeby, które mógł postrzedz, wspierając i opatrując.

Majętni ludzie, chcąc mieć od niego ratunek w swém zdrowiu, niemogli mu żadnych ofiarować nagród, boby onych nie przyjął.

Widząc atoli, jak był dla ubogich dobroczynnym, zostawiali w domu jego potajemnie znaczne pieniądze, bez żadnéj kondycyi, bo wiedzieli, że tak dobroczynny człowiek użyje onych dobrze z pożytkiem ludzkości.

Jakoż zdaje się, iż dowcip jego tak był dobroczynnością zajęty, że całą swą pilność ku temu obracał. Zrobił fundacyą, z któréj dochód idzie na zakupienie lekarstw dla chorych, niemających sposobu opłacenia aptecznych regestrów. Szpital w swéj parafii dla starych mieszczan, zupełnie w murach i funduszach upadły, na nowo wymurował i dochodami opatrzył.

Dla dzieci, któreby lepiéj umiały naukę wiary i miały świadectwo dobréj w szkole farnéj aplikacyi, oraz zalecenie, z jakiego czynu wdzięczności i miłosierdzia, premie ufundował, które się im publicznie w kościele Panny Maryi corocznie rozdają.

Dla neofitów jałmużny, a dla wychowania i ćwiczenia ich dzieci, fundusz postanowił.

Bractwo miłosierdzia, niegdy przez Skargę ufundowane i pod dozór kapituły krakowskiéj oddane, a z czasem przez złą administracyą prawie upadłe, na nowo podniósł, urządził, nowymi dochodami zasilił i do dawnéj użyteczności powrócił.

Porządki ogniowe dla miasta Krakowa sprawił i zrobił fundusz, aby w ciągu zimy, kiedy są nocy długie, kiedy rzemieślnicy i ludzie ubodzy dodnia wstawać muszą, dla pracowania przy świetle, kiedy przededniem palą wszędzie po piecach, dla ogrzania izb, a zatem po domu ze światłem kręcić się potrzebują, dwaj zaraz strażnicy od czwartéj godziny po północy czuwali na wieży kościoła Panny Maryi, jeżeli się gdzie ogień nie okaże i przestrzegali straż ratuszną. Żeby zaś strażnicy sami nie zasnęli, obowiązał ich grać sygnał na wieży, od 4téj aż do 6téj godziny.

Mimo te pełne ludzkości i obywatelstwa fundusze, bardzo wiele łożył na ozdobę kościoła



Jaskinia Kuhstall w Saskiéj Szwajcaryi.

Panny Maryi w Krakowie i kolegiaty w Sandomierzu, gdzie także był pierwszym prałatem.

Szkoda, że żył w tym wieku, w którym wielkie łożone koszta, nie wytępiały złego w architekturze i ozdobach gustu, ale owszem pomnażały. Nie zabrakło tam na marmurze, bronzie i srebrze, zabrakło na dobréj architekturze. Łopacki, kochany od świeckich i duchownych, od bogatych i ubogich, od magnatów i ludzi swego stanu, z którego pochodził, zostawił po sobie pamięć wszystkim miłą i słodką; wszyscy go wspominają jako wzór do naśladowania; ci, których zawaśnienia i kłótnie pogodził, których zdrowie uratował, których nędzę osłodził, których łzy w smutku lub ucisku otarł, którym dał wychowanie lub sposób do życia, którzy z wielorakich jego korzystają dotąd fundacyj.

Wszyscy go wystawiają za wzór, jeden drugiemu go przypomina, podają sobie z ust do ust jego odpowiedzi, jego dobroczynności, jego rady. Ten uczony i dobroczynny człowiek, nie zostawił prawda po sobie żadnego wypracowanego w medycynie dzieła, ale zostawił wzór do naśladowania i dowód, jakby było rzeczą pożyteczną, gdyby duchowni przykładali się do nauk lekarskich, gdyby byli lekarzami ludu tak dobroczynnymi, jak był Łopacki. Między sławnych owego czasu w Krakowie doktorów, należy umieścić Arona, Żyda; byłto doktor akademii lejdejskiéj, miał honor być uczniem sławnego Boerhawego, szczęśliwy praktyk i człek wzięty. Łopacki nawet miewał z nim konsylia w czasie gwałtowniejszych potrzeb; Wadowski i Konuli byli to doktorowie wydziału w szkole głównéj; nie źli praktycy, lecz nic o nich do powiedzenia nie zostaje.

Jaskinia Kuhstall w Saskiéj Szwajcaryi.

„Z Lichentheim," mówi ulubiona autorka, „kazałyśmy się zanieść na wygodnych krzesłach na górę Kuhstall zwaną. Nie jest to zapewne miłe uczucie, dać się nieść w krześle, jak kaleka; lecz przezwyciężywszy wstręt pierwszy, bardzo rzecz wygodna, bez tchu utraty wejść tak wysoko. — Droga na Kuhstall przyjemna; dochodząc do samego miejsca, ukazuje się wąska ciemna uliczka, a na jéj końcu wiśi, jakby wielka biała zasłona; przyszedłszy, spostrzega wędrownik, że to otwór na wylot ogromnéj skalistéj jaskini. To olbrzymie sklepienie, ta gotowa dla człowieka gospoda, którą sporządziła ręka wielkiego Budowniczego świata, może jeszcze w chwili potopu, mocne uczyniła na mnie wrażenie; przejęło mnie uczucie podobne temu, którego doznajemy, wchodząc do starożytnéj świątyni; czułam bytność Boga w tém miejscu. Widoki z saméj jaskini, z wierzchu jéj czyli dachu, piękne, choć zupełnie dzikie. Sądzićby można, że skutkiem gniewu niebios ogromne miasto tu skamieniało; bo ten natłok sterczących różnego kształtu skał, domy, wieże, kominy przedstawia. — Do zupełnego miejsca tego uroku, równie jak w całéj Saskiéj Szwajcaryi, brak czystych strumieni, bystrych potoków, szumiących wodospadów; niedostatek wody i ptastwa, zbyt głuchemi czyni te miejsca, — jest to scena bez aktorów. — Ta jaskinia dla tego nosi nazwę Kuhstall, iż tu w czasie siedmioletniéj wojny okoliczni włościanie bydło swoje przed nieprzyjacielem skryli; tu także mieszkał niegdyś rozbójnik Wilde z zgrają łotrów i napadał bogatych baronów zamki."

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. J. Łukaszewicz.)